№ 25.

Warszawa dnia 10/22 Czerwiec r. 1867



NOWOSCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* rs. 3 k. 75, Koperta *półrocznie* rs. 1
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

RYS PODRÓŻY

PAŃSTWA BAKER PO AFRYCE ŚRODKOWEJ,

UWIEŃCZONEJ

NAJWAŻNIEJSZEM ODKRYCIEM GEOGRAFICZNEM TEGOCZESNEM, BO ODKRYCIEM

ŹRÓDEŁ NILU.

(Dokończenie).

Pan Baker z pierwszym brzaskiem światła dziennego, dostrzegł lekkie poruszenia choréj i usta jéj wymówiły jakieś zdanie z pisma świętego. Uniesiony radością biegnie do jéj łoża, ale niestety boleść jego podwaja się, bo dawną bezwładność zastąpiło pewnego rodzaju szaleństwo, wywołane nadzwyczajnie silnem zapaleniem mózgu. Cały tydzień młoda kobieta pozostawała w tym stanie, a nieszczęśliwy Anglik musiał jeszcze codziennie pozostawiać ją na łasce murzynów, aby zabić kilka sztuk zwierzyny, bo nie było inszego środka do znalezienia żywności koniecznéj dla utrzymania życia.

Po upływie tygodnia chora popadła w stan ustawicznych konwulsji, które trwały dzień cały, poczem nastąpiło zupełne omdlenie, tak że Anglik nie wątpił że to są ostatnie chwile i stracił zupełnie nadzieję ocalenia ukochanéj małżonki. Zmęczenie jego było tak wielkie, bo od siedmiu dni nie spał, że klęcząc przy łożu żony usnął i spał w téj postawie przeszło dwie godziny. Po obudzeniu się uczuł nadzwyczajny wyrzut sumienia, że nie był świadkiem ostatniego westchnienia żony. Szybko więc powstaje z ziemi, ale o radości! słyszy regularny oddech, a nawet delikatny rumieniec ukazał się na twarzy. Wkrótce pani Baker otworzyła oczy, umysł jéj odzyskał dawną siłę, była ocaloną, a dzięki młodości prędko jéj siły odzyskały dawną sprężystość i dzielność.

Okolica obfitowała w zwierzynę, skutkiem tego zatrzymano się na jednem miejscu dni kilka, co bardzo zbawiennie wpłynęło na zupełne wyleczenie choréj. Uniknąwszy tak strasznego nieszczęścia, podróżni z sercem uradowanem spieszyli ku jezioru, owemu głównemu celowi ich podróży, które wedle obliczeń pana Baker nie powinno być odległem. Po całodziennéj podróży przybyli do miasta bardzo ludnego i zamożnego, jakiego nie napotkali od czasu opuszczenia Mirouli. Miejscowość była bardzo piękna, bo zielone lasy, wysokie góry i rozkoszne doliny, stanowiły rozkoszną całość. Mieszkańcy z całem zaufaniem zaznajamiali pana Baker ze wszelkiemi szczegółami geograficznemi i powiadomili go, że jezioro będące źródłem Nilu, znajduje się nie daléj, jak o dwanaście godzin podróży. Ostatnia ta wiadomość do najwyższego stopnia ucieszyła pana Baker, tak że całą noc nie zasnął, ale pozostawał w stanie gorączkowego marzenia rozmyślając o tem, że jutro wiekowa zagadka naukowa rozwiązaną zostanie. Przytaczamy ustęp dosłownie wytłomaczony z jego dzieła.

Jutro więc spragnione moje usta mają się dotknąć wody zaczerpniętéj ze źródeł téj tajemniczéj rzeki, któréj początek pomimo wszelkich usiłowań pozostał zakrytym dla ucywilizowanego świata. Znosiłem z zupełnem zaparciem się wszelkie przykrości podróży: głód, pragnienie, choroby i t. p. a szedłem naprzód ze stałą wolą dojścia do zamierzonego celu. Skoro zaś przeszkody zdawały się przewyższać moje siły, postanowiłem raczéj umrzeć, aniżeli cofnąć się i pozostawić komu innemu zasługę dopełniania tyle ważnego zadania.

Jeszcze przed wschodem słońca karawana ruszyła naprzód, postępując drogą wyżłobioną na płaszczyźnie zamkniętéj dwoma wzgórzami. Krajowcy upewniali że skoro europejczycy dosięgną szczytu przeciwnego pasma gór, to zobaczą u swych stóp obszerne jezioro, dające początek owéj tak dobroczynnéj rzece dla zasiewów egipskich. Można łatwo pojąć niecierpliwość pana Baker, który dokładał wszelkich usiłowań, aby przyspieszyć leniwy chód wołu, bo chciał aby nikt pierwszy, tylko on sam ogarnął swoim wzrokiem tajemnicze jezioro. Nareszcie nadchodzi chwila uroczysta, pan Baker staje na szczycie góry i wzruszony z sercem bijącem dostrzega ogromny zbiór wody, prawdziwe morze, którego wody zbiegają się z krańcami horyzontu od południa, a od zachodu ograniczone są pasmem gór, jakich wierzchołki niebieskawe dostrzegał jeszcze w dniu wczorajszym. Wspaniały to był widok! Łańcuch gór dochodził do wysokości siedmiu tysięcy stóp co nadawało krajobrazowi jakąś cechę wspaniałości. Cała karawana stanąwszy na szczycie górypowitała źródła Nilu trzykrotnem wykrzyknieniem: *hurra*, wzruszenie zaś pana Bakera było tak wielkie, że ten człowiek żelazny nie mógł się powstrzymać od łez i dziękował Opatrzności w głośnéj modlitwie że mu dozwoliła spełnić zadanie uważane dotychczas za niepodobne.

Na wschodnim brzegu jeziora wybudowaną jest wieś Vacovia, któréj mieszkańcy zajmują się głównie rybołówstwem i zbieraniem soli. Tamto pan Baker założył czasową swoją kwaterę, zbierając wiadomości geograficzne wedle opowiadań krajowców; oprócz tego ze szczytu gór za pomocą perspektywy rozpoznawał odległe punkta rysując na prędce topograficzną mappę.

Tym sposobem zebrał wiadomości o potężnem królestwie Maleggas, oraz o innych plemionach okolicznych. Krajowcy upewnili go, że potrzeba było cztery dni i cztery nocy, aby przepłynąć jezioro i dotrzeć południowych brzegów. Podróż ta jednakżeż była konieczną, aby naocznie przekonać się o początku Nilu. Mieszkańcy wsi Vacovia posiadali łódki tak kruche i płytkie, że niepodobna było narażać się na oczywiste niebezpieczeństwo; za przyrzeczoną jednakże nagrodą zobowiązali się sprowadzić statki odpowiedniejsze z królestwa Maleggas a należące do naczelnika kraju Kadjoro. Mieszkańcy nie spieszyli się wcale z dotrzymaniem swéj obietnicy, bo zatrzymując dłużéj europejczyków, mieli nadzieję wyzyskania rozmaitych podarunków bardzo przez nich upragnionych, a składających się z paciorków, drobnych szkiełek i bransoletek metalowych. Dłuższy pobyt w tych stronach nie był przyjemnym z powodu tak niezdrowego klimatu, że połowa prawie arabów dotknięta była febrami i innemi chorobami. Pan Baker niecierpliwił się, ale na szczęście po ośmiu dniach oczekiwania, ukazały się nareszcie upragnione łodzie, które miały powieźć podróżnych w nieznane okolice. Nie były one bardzo wygodne, stanowiły je bowiem tylko pnie drzewa wyżłobione w środku bez osłony od słońca i deszczu. Z rozkazu Bakera na jednéj z łodzi zrobiono na prędce namiot płócienny i tam zasiadł on wraz ze swoją małżonką. Czas był bardzo przyjemny: lekki powiew wschodniego wiatru chłodził powietrze, a powierzchnia jeziora była gładka, tak że statek nie doznawał najmniejszego kołysania. Brzegi jeziora są spadziste tak że głębokość jego odrazu bez stopniowania staje się wielką, skutkiem czego nie ma wodnego ptastwa, ale za to można napotkać mnóstwo hippopotamów i krokodyli, które z przestrachem kryły się w głębinach na pierwszy szelest poruszonych wioseł.

Wyprawa wodna była pomyślna, tylko w dniu pierwszym bo nazajutrz w czasie podróży nocnéj zerwał się ogromny wicher, który miotał łódkami jak drobnemi zdziebełkami. Spadający gruby deszcz spowodował zupełną ciemność, przerywaną od czasu do czasu silnemi błyskawicami. Słabe statki byłyby z pewnością strzaskane o mielizny i podwodne skały, gdyby nie obecność anglika, który z natury już posiadał talent marynarski, i tak zręcznie pokierował statkami, że uniknął rozbicia.

W trzy dni późniéj przybyli do M. Magungo, obok którego przedłuża się jezioro i wedle zapewnienia mieszkańców daje początek Nilowi. Pan Baker z największem zadziwieniem uważał, że w téj okolicy woda jest stojącą, a tem samem opowiadania krajowców mogły być nieprawdziwemi. Ciała organiczne ulegające rozkładowi zatruwały powietrze; tak że anglik uległ ciężkiéj chorobie, a pomimo tego kazał płynąć ciągle w kierunku wskazanym, aby przekonać się naocznie, czy ramię jeziora jest zakończone rzeką, czy też jak się obawiał zamknięte szczelnie lądami. Kilka dni podróży nie przyniosły żadnego skutku, bo jakkolwiek ramię jeziora robiło się coraz węższem i widocznie przybierało formę rzeki, pomimo tego w a ciągle była stojąca i nie można było rozróżnić najmniejszego ruchu i prądu wodnego. Dopiero czwartego dnia podróży pan Baker leżąc na łożu wydał okrzyk radości, bo rośliny i liście leżące na wodzie zdawały się poruszać w kierunku zachodnim.

Nie było to złudzeniem, ruch ten stawał się coraz widoczniejszym; rzeka mająca dotychczas dwieście metrów szerokości zwęziła się naocznie, a zdaleka dochodził odgłos huku i szumu, których znaczenie łatwo można było wytłumaczyć. Za każdym krokiem łoskot powiększał się tak że stawał się podobnym do odgłosu ustawicznego grzmotu, a pęd wody również powiększał się, i doszedł wkrótce do takiéj gwałtowności, że strwożeni marynarze spiesznie przybyli do lądu, bo wkrótce zdruzgotałby ich niepohamowany wir wody. Dalszą podróż odbywali lądem i wkrótce wspaniały widok wynagrodził dotychczasowe ich trudy. Ujrzeli Nil ściśnięty dwoma ścianami gór trzysta stóp wysokości wynoszącemi, a późniéj cała massa wody stanowiąca jego koryto spadała na dół z wysokości stu czterdziestu pięciu stóp.

Jest to pierwsza katarakta Nilu. Pan Baker jako prawdziwy Anglik, na pamiątkę zmarłego małżonka królowéj Wielkiéj Brytanji, nadał odkrytemu jezioru nazwisko Abert-Nyanza, a katarakcie Murchison na cześć prezesa Towarzystwa geograficznego w Londynie. Powrót do Egiptu stanowi drugą część podróży Anglika, może jeszcze więcéj zajmującą niż pierwsza pod względem dramatycznych wypadków, bo musiał jeszcze przeszło rok zamieszkać u znanego

nam króla Kamrasego, musiał z nim zawrzeć traktat zaczepno-odporny celem pokonania sąsiednich pokoleń, przechodząc przez różne wypadki, wykazujące chytrość i przebiegłość afrykańskiego królika.

Nie będziemy jednakże podawać obszerniejszéj treści bo nie wątpiemy że dzieło to w całości na język polski przetłomaczonem będzie, a znajdzie z pewnością takie powodzenie, jak kiedyś improwizowana podróż na około świata napisana przez Jakóba Arago.

K. G.

Korrespondencja z Paryża.

Jest rzeczą nieulegającą zaprzeczeniu, że aż do wieku XIX naród francuzki nie tylko nie wydał wielkiego historyka, któryby potrafił ująć i wytłomaczyć wszystkie sprężyny życia narodowego, ale nawet brakło mu na owych pracach przygotowawczych, zasadzających się na zgromadzaniu materjałów, którym w przyszłości ręka mistrza nadaje właściwe zastosowanie. Rząd Ludwika Filipa, spostrzegając tę wielką próżnię w literaturze francuzkiéj, postanowił brak pojedynczych pracowników, zastąpić stowarzyszeniem uczonych, którzyby pracowali we wskazanym kierunku. Zawiązane w tym celu towarzystwo, przybrało nazwę Towarzystwa historji Francji i przystąpiło do wyboru prezesa, na którą godność, wybranym został jednomyślnie pan Barante, autor wielu prac historycznych. Stowarzyszenie, zabrało się żwawo do pracy: odkryło, uporządkowało i ogłosiło drukiem mnóstwo rękopismów szacownych, które dozwoliły znakomitemu pisarzowi opracować historją Francji w osiemnastu dużych tomach, stanowiących mimo materjalnego obszaru doskonałą całość, tak że nić życia całego narodu snuje się bez przerwy, przybierając tylko coraz wyrazistsze zarysy w miarę zbliżania się do czasów współczesnych.

Pan Barante po życiu pełnem zasługi zmarł w roku bieżącym, a w jego miejsce członkowie towarzystwa wybrali nowego prezesa w osobie pana Guizot, którego nazwisko stało się znanem ogólnie skutkiem dzieła napisanego pod tytułem Historja Cywilizacji europejskiéj, a przetłomaczonego zdaje się na wszystkie języki europejskie. Pan Guizot bezwątpienia nie jest nieomylnym, często bardzo sąd jego nie jest nacechowanym bezstronnością, często gubi się w szczegółach, tak że myśl główna zaledwie się pochwycić daje. Często nawet pisarz ten jest bardzo powierzchownym, ale też znowu bardzo często okazuje wszystkie przymioty potrzebne dla znakomitego historyka-filozofa i dla tego dzieła jego z prawdziwym pożytkiem przez ludzi myślących odczytywanemi być mogą.

Niespracowany zasiadając po raz pierwszy jako prezes Towarzystwa historji Francji, zagaił posiedzenie zarysem żywota swojego poprzednika, w którym rzucił poglądy trafne i głębokie na stanowisko autora opisującego życie dziejowe, w stosunku do walki sprzecznych żywiołów. Z téj to przyczyny, postaram się dać w skróceniu treściwą mowę pana Guizot, w któréj bardzo umiejętnie określił właściwą metodę historyczną, która zasadza się na tem głównie, aby z miłością przystępować do całego dzieła, z miłością patrzeć na zeszłe i teraźniejsze pokolenia ale nie z tą co pobłaża a przez to zachęca do złego, ale co nie zakrywając stron dobrych, karci błędy i wskazuje właściwą drogę postępowania.

Na początku swego przemówienia pan Guizot bardzo zręcznie dziękuje za jednomyślny wybór, jakim zaszczycony został, wyraża się jednak że zadowolenie to połączone jest z uczuciem smutku, że ma zastąpić człowieka bardzo zasłużonego i od lat dawnych szczerego przyjaciela. „Obydwa zarówno, mówi pan Guizot, poświęciliśmy życie nasze sprawom publicznym: pan Barante w r. 1808 ogłosił dzieło pod tytułem „Obraz literatury francuzkiéj w XVIII wieku; ja wówczas opracowałem rozbiór krytyczny poetów z XVII, wieku. Od roku 1820 do 1830 pracowałem nad historją naszéj cywilizacyi, a pan Barante ze znakomitym talentem napisał historją książąt Bourgogne przywołując do życia jednę z epok naszéj historyi, którą ja spiesznie przebiegałem zwracając jedynie uwagę na główniejsze zdarzenia i wybitniéjsze postacie. Nareszcie po roku 1830, ja i on wspólnie weszliśmy do życia politycznego, wyznając jedne i te same zasady, dążąc ku jednemu i temu samemu celowi, i doznając kolejno powodzenia lub przykrych zawodów. Pod każdym względem, słusznie i sprawiedliwie, pan Barante powołanym został do przewodniczenia pracom, byle odpowiednim jego uzdolnieniu i jego niezmordowanéj pracowitości. Przed laty trzydziestu jeden zebraliście się panowie wspólnie, celem odszukiwania, porządkowania i ogłaszania drukiem główniejszych pomników historycznych, w których tak wybitnie odrysowanym został charakter naszych przodków, tak w wyobrażeniach, sposobach myśli, jako i w uczuciach będących wpływem działania sercowego. Wielki to zaszczyt dla rodzaju ludzkiego, że z pośród wszystkich stworzeń, on tylko jeden posiada historją, że tylko w rodzaju ludzkim pokolenia poprzednie połączone są z następnemi ścisłym węzłem dziedzictwa niezerwanym i nieustającym, tak że żadne pokolenie nie stoi osamotnione, ale jest niezbędnym ogniwem, do spojenia czasów minionych z przyszłemi. Aby jednakże ten wielki przywiléj nie był martwym, i przyniósł rzeczywiste korzyści, potrzeba koniecznie aby następne pokolenia, znały i pojmowały dokładnie życie poprzednich, bo inaczéj stąpać będą po omacku, opuszczając zbawienne, a wchodząc na drogi błędne i kręte.

Nadto nie waham się oświadczyć, że aby korzyść była zupełna, należy do tego dzieła przystępować z miłością, bo jeżeli nasi przodkowie zostawili nam obfite dziedzictwo, to zasłużyli na naszą wdzięczność bezpośrednią, jeżeli zaś strwonili dary dane im przez Stwórcę, to pośrednio należy się im wdzięczność, że stawili żywy przykład przed naszemi oczami, do czego wiedzie upodobanie w lenistwie i szkodliwych nałogach, co bardzo krwawo przez nich przypłaconem zostało. Wszelkie zaś złorzeczenia już ich nie dosięgną, a i złorzeczącym nie przyniosą korzyści. Z takiego to rodzaju uczuciem pan Barante przystępował do wszystkich prac swoich, mających na celu historją Francji. Miał zawsze przytomną w myśli

Francję dawniejszą i Francją teraźniejszą, pojmował i rozumiał doskonale, kochał i szanował zarówno i miał za złe tym wszystkim, którzy dla interesu partji, wypierali się dawniejszéj lub teraźniejszéj Francji.

Pan Guizot zakończył mowę swoją w sposób następujący:

— „Dzisiaj skoro mi przychodzi objąć tak zaszczytne dziedzictwo po panu Barante, pozwolicie że dla usprawiedliwienia waszego wyboru, zrobię wyjątek z testamentu zmarłego męża, a odnoszący się do méj osoby.

— „Nie mogę zakończyć tego pisma, mówi pan Barante, bez wymienienia dwóch przyjaciół, którzy mi pozostali wiernemi, aż do grobowéj deski. Chcę aby dowiedzieli się ile ich przyjaźń była mi droga, i aby nie zapomnieli o mnie, skoro już opuszczę doczesną pielgrzymkę. Proszę zatem, aby te kilka wyrazów przesłane były księciu de Broglie i panu Guizot. Jakąż mogę udzielić odpowiedź na ten głos tak stałéj przyjaźni? Oh jednę tylko, w tych kilku wyrazach: „twoje żądanie będzie wysłuchanem, nie będziesz zapomnianym nigdy."

(d. c. n.)

Pogadanka Tygodniowa

Jakkolwiek na zachodzie Europy i w Stanach Zjednoczonych kwestja pracy kobiecéj już dawno na jéj korzyść rozstrzygniętą została, u nas dopiero od lat kilku przedmiotem tym zajmują się skrzętniéj. Przy małéj liczbie obrońców, ogół męzki na te zachciewki niewieście do zdobycia niezależności i potargania średniowiecznych przesądów, pogląda z niechęcią i podejrzeniem, a odradzając, wystawia niewłaściwość tego zbyt śmiałego dążenia. Na poparcie dowodzenia, chórem często fałszywym a zawsze krzykliwym, zawodzi wiecznie jedną piosnkę o przeznaczeniu kobiety jako żony, matki, pani domu i tego anioła opiekuńczego rodzinnego związku, obowiązanego czuwać z poświęceniem całego swego życia nad jego pożytecznym dla społeczeństwa rozwojem.

Piękne to bardzo i nikt słuszności dowodzenia nie zaprzeczy, ale pytam się, czy każda kobieta powołaną zostaje do spełnienia tych ważnych obowiązków? Czy każda zostaje żoną i panią domu i rodziny? Czyż każda w smutnem owdowieniu, posiada stosowne fundusze do utrzymania życia bez umiejętnéj pracy? Cóż więc zrobi panna po straconéj nadziei wydania się za mąż? Co zrobi biedna wdowa pozbawiona opieki swego chlebodawcy?

Gdyby znajdowała się jaka instytucja, poświęcona kojarzeniu związków małżeńskich z możnością zmuszania mężczyzn do żenienia się, gdyby zwyczajem lub prawem nie wolno było straszyć ludzi starem kawalerstwem i każdy obowiązany był żenić się a panna iść za mąż, słowem gdyby była pewność, że żadna młoda kobieta zarówno panna jak wdowa, na samotne życie skazaną nie będzie, krzyki na dążenia kobiece do rozszerzenia zakresu swéj pracy, byłyby choć w części usprawiedliwione. W przeciwnym stanie rzeczy, w coraz straszliwszem krzewieniu się obrzydle wstrętnego starego kawalerstwa, żeby samotne i biedne kobiety zabezpieczyć od głodu, biedy a często nędzy, nie ma innego środka, jak tylko ułatwianie im pracy i podanie sposobności do jéj nauczenia się.

W Stanach Zjednoczonych nie tylko do nauki téj otworzono wszystkie warsztaty rzemieślnicze, ale nawet wyższe szkoły, a nawet biόra, urzęda i różne posady wyłącznie dotąd przez mężczyzn zajmowane. Nie lękano się współzawodnictwa kobiecego, przeciwnie ułatwiono jego rozwój, usunięto przeszkody, bo tam rozumieją to dobrze, że im większe w pracy współubieganie się, tym większa korzyść spływa na całą społeczność, im więcéj ochotników do pracy tym praca lepsza i doskonalsza. Praktyczności zaś rozumu obywateli amerykańskich możemy śmiało zaufać bez rozbioru i komentarzy. Były wprawdzie i tam z początku niesforne wrzaski, deklamacje o rodzinie, szyderstwa i gniewy, ale wprędce poznano się, i dziś kobieta tam, we wszystkich umiejętnościach i rzemiośle znajdując zarobek, śmiało staje obok mężczyzny.

Jaki jednak jest właściwy powód, tego szamotania się męzkiéj linji w kwestji tak ważnéj i zbawiennéj, bo zabezpieczającéj niezamożne kobiety od wszelkich następstw biedy i niedostku? Czyżbyśmy nierozumieli ważności pracy i całéj szlachetności ludzi, godnie się z niéj wywiązujących? Czyż dla młodych nie mamy wiecznie jéj na ustach, obrzucając słuszną wzgardą nieuków i próżniaków? Dlaczegożby więc to co ją uzacnia i uszlachetnia mężczyzn, miało być złem i szkodliwem dla kobiet? Mówiąc otwarcie, jest to nic więcéj tylko bojaźń współzawodnictwa, strach

paniczny przed spodziewanemi następstwami rojnego tłumu pracownic, garnących się z zapałem do tego, co wyłącznie dotąd dzierżymy i posiadamy. Przeczuwając że fuszerstwo i niedołęztwo coraz mniéj będzie popłacać, że się trzeba będzie wszystkiego nie *poduczać* ale *nauczać* dokładnie, że trzeba się będzie uczyć na prawdę a nie na żarty, jak to dotąd na nieszczęście ma miejsce: że znojna praca na chleb powszedni stanie się głównym dla wszystkich zabiegiem a zabawki, rozrywki i przyjemności tylko dodatkiem, co dzisiaj dzieje się zupełnie przeciwnie, drżenie zatem nasze na dotychczasowem stanowisku bardzo naturalne,— krzyczymy więc, wrzeszczymy, wywodziymy jeremjady nad utratą znaczenia rodziny domowego ogniska, macierzyńskiéj opieki, dziewiczego puchu ze skrzydeł ziemskiego anioła, brukającego się pyłem pracy warsztatowéj, nad szarpaniem szaty niewinności wykładami naukowemi, zapominając, że ten anioł ziemski strojny w niewinności szatę, żyje życiem ziemskiem, i okryty bruzdami i zmarszczkami czasu, pozbawiony ziemskiéj mamony, wychodzi na nędzę, poniewierkę, często na pośmiewisko i ciężar społeczny. Któż wtenczas przeszłość jego zapamięta? Kto w jéj imieniu udzieli pomoc, ratunek biednemu uwiędniętemu kwiatkowi?

Samolubne to krzyki, a dumni stanowiskiem niezbędnéj dla kobiet opieki i przewagi nad niemi, chcielibyśmy wiecznie utrzymywać je w téj zależności, rozkoszując się motylowem życiem tyle ponętnem, i dla wielu stanowiącem jedyne zajęcie.

Ale rodzina, powiedzą krzykacze, cóż się z nią stanie, gdy kobiety razem z mężczyznami do jednéj staną pracy? Prawda, rodzina rzecz święta i dla podtrzymania jéj warto wiele poświęcić. Cóż ona jednak na tem straci, gdy każda kobieta zdobędzie odpowiednie sobie stanowisko? Czyż ojcowie rodzin przestają być ojcami, mając zajęcie chleb im dające? Dlaczegożby w kobietach praca miała zniszczyć macierzyńskie uczucia, wszczepione od natury w cały świat żyjący? Czyżby kobiety miały stanowić wyjątek? Gdyby im przeszkadzała w pełnieniu tych świętych obowiązków lub była zbyteczną to ją mogą porzucić w każdéj chwili, boć to nie narów, nie namiętność z któremi tak trudno się rozstać.

Każda panna od najmłodszego wieku wychowywana w kierunku przyszłéj pracy, zdobywszy dla siebie środki utrzymania, poczuwszy się wolną i niezależną, w małżeńskim związku nie będzie upatrywać jedynego losu i poważniéj patrząc na sprawy ziemskie, całemu otoczeniu nada większą powagę.

Podniesiona we własnéj godności, środki podobania się powierzchownością na drugie strąci stanowisko, a przymiotom trwalszym odda pierwszeństwo. Z tąd konieczna zmiana w męzkiem usposobieniu, przed aniołem ziemskim każdy ukorzy czoło, jako przed obrazem dwóch potęg, wdzięku siły i duszy. Anioł pozostanie zawsze na swojem podwyższeniu bo będzie zawsze, w każdem położeniu, jednostką dokładająca cegiełki do budowy społecznego gmachu. Wyszedłszy za mąż, kobieta może jak powiedzieliśmy, porzucić pracę i oddać się wyłącznie nowym swym obowiązkom, jeżeli praca męża na utrzymanie będzie dostateczna. Jeżeli nie starczy na zwiększającą się wydatki rodziny, cóż jéj za szkodę może przynieść zarobek matki po za domem, z pracy jakiéj się za lat panieńskich poświęcała? Czyż lepiéj dręczyć się brakiem, jak pracą zaradzić temu brakowi i dziatkom zapewnić naukę, a choćby sukienki tylko i trzewiczki?

Ludność na ziemi wzrasta i coraz ciaśniéj się robi tam nawet, gdzie było dotąd bardzo przestrono. Ztąd utrzymanie coraz droższe i trudniejsze, ztąd przeszkody dla związków małżeńskich i uporczywe uganianie się za bogatem wianem. Dla posażnych panien jest to dosyć znośne, choć dla przyszłości ich nie bardzo bezpiecznie, ale dla ubogich stan taki przerażający. Ochronić je od smutnych następstw osamotnienia, może jedynie tylko zdobycie umiejętnéj pracy, stanowiącéj niejako miano, którego jest pozbawioną. Niejeden bowiem ożeniłby się, ale wstrzymuje się dla braku odpowiednich dochodów. Gdyby zaś upatrzona przez niego panienka, pracą osobistą na własne starczyła utrzymanie, namysł byłby prędszy, bo w związku małżeńskim przez skojarzenie dwóch domów w jeden, oboje by zyskali a nie stracili. W imię więc Boże powstawałyby rodzinne kółka, zwiększała praca ogółu, z nią bogactwo, moralność i w świecie byłoby coraz mniéj narzekania, a coraz więcéj uśmiechu i wesela.

Cuda te, jedna praca może tylko stworzyć, nie stawiajmy więc jéj tamy, nikomu, nawet niemowlęciu gdyby chciało pracować, a tym bardziéj kobietom.

Jeżeli zaś jak owi krzykacze powiadają, kobiety ani głową ani ręką nie wyrównywają mężczyznom to cóż szkodzi że sprobują? Jeżeli dążenia do usamowolnienia się przez pracę są prostą mrzonką, a rozumowanie niniejsze niezdarną galanterją dziennikarską, nikt na tem nie straci, że doświadczenie zrobi nas mędrszemi i oględniejszemi w tworzeniu pomysłów.

Rozpatrzenie się w artykule p. Józefa Bergera właściciela drukarni pierwszorzędnéj, odkładam do następnego numeru. Pominąć bowiem jéj milczeniem nie godzi się.

O UBIORACH

Ubranie tegoroczne, mimo pozornéj rozmaitości w ozdobach, bardzo jest w gruncie jednostajne, wszystkie suknie przeznaczone do wyjścia na ulicę składają się z dwóch jednakowych spódniczek i z prostego dętego paletocika. Cała odmiana polega na ich przystrojeniu. Często zamiast dwóch spódniczek widziemy tylko jednę, naszytą nad obrębem plisą albo rulonem w zęby; oznaczenie to naśladuje drugą spódniczkę. Niekiedy też ubranie bywa w dwóch odcieniach jednego koloru, to jest pierwsza spódniczka ciemniejsza, wierzchnia zaś jaśniejsza, przybrana ciemniejszemi plisami. Paletocik bywa w takim razie jaśniejszy: rękawy u niego podwójne, jedne szerokie spadające, drugie zaś obcisłe do ręki, te ostatnie ciemniejsze, tak jak pierwsza spódniczka. Jeżeli wierzchnia suknia jest w rzucik albo w paski w takim razie spódniczka powinna być gładka, w tymże samym kolorze, — plisy na sukni także gładkie. W ogólności tego rodzaju ubrania, zakrawają trochę na kostium, ztąd też zowią je *kostiumami*, Nic łatwiejszego jak wpaść w nich w przesadę i śmieszność. Niech tylko suknia będzie za krótka, lub zanadto opięta, kolory zbyt jaskrawe i nie dosyć harmonijnie dobrane, a natychmiast niknie cały wdzięk i ubranie staje się dziwacznem. Otóż panny Kuhnke, umieją z właściwym sobie gustem, połączyć wymaganie mody z prawami artystycznego piękna. Suknie ich przeznaczone na ulicę, dotykają prawie ziemi, a lekko przymarszczone lub przyfałdowane, skromnie i poważnie wyglądają.

Między innemi widzieliśmy w tym magazynie parę ślicznych kostiumów fularowych. Jeden z nich w kolorze kukurydzowym *maïs*, miał spódniczkę naszytą dwa razy wstawką czarną gipiurową. Na to szła wierzchnia spódniczka wycięta w wielkie zęby, objęte trzy razy wązką gipiurą czarną. Paletocik *peplum* stosownie przybrany, ładnie dopełniał całości. Druga suknia także fularowa, czarna w fijołkowe muszki, miała spódniczkę gładką fijołkową. Wierzchnia suknia wycięta w wielkie zęby, zakończona była frendzlą karbowaną czarną z fijołkowem. Paletocik do tego cokolwiek roztwarty na przodzie, odkrywał kamizeleczkę fijołkową śpiętą na czarne lawowe guziki. Rękawy szerokie spadające na gładkich fijołkowych, dopełniały całości. Tak paletocik jak i szerokie rękawy, wycięte u dołu w zęby, kończyły się frendzlą. Kapelusze tegoroczne odznaczają się wielką rozmaitością, najwięcéj jednak daje się widzieć fanszoników, albo talerzyków zwanych *Lamballe*. Jedne z nich przybierają girlandką z kwiatów, kłosów albo liści przeplatanych owocem, winogron, pożeczek, chmielu i t. p. Girlandka ta rozszerzona w samym środku, przypina się tak, że obejmuje brzeg ronda i stanowi zarazem podpięcie; daléj zwęża się z obu stron i przytwierdzona do końców koronkowych albo illuzjowych, spina się wraz z niemi pod brodą. Panienki noszą po większéj części kapelusiki okrągłe, opasane wiankiem kwiatów, lub też talerzyki okrągłe (Lamballe) przybrane z boku bukiecikiem, nie wiązane pod brodą, ale z tyłu głowy pod włosami. Woaliki noszą dwojakie: małe koronkowe czarne, wycięte w pięć zębów zakończonych grelotkami, albo też małe pół okrągłe, z długiemi szarfami, które przypinają się na kokach. Jak jedne tak drugie, naszyte są zwykle paciorkami z lawy. Wracając się jeszcze do sukien, powiemy tu że nowość tegoroczną stanowią oznaczony z przodu fartuszek. Moda ta stosuje się wyłącznie do sukien strojnych. Widzieliśmy w podobnym guście bardzo ładną suknią z wyrobu wełnianego z jedwabiem *taffetat de laine* w kolorze lilla. Suknia długa powłóczysta, z przodu zakończona była plisą jedwabną jasno-fijołkową. Po bokach szły u dołu wielkie śpiczaste zęby również plisą objętę, sam tył nie miał wcale zębów, tylko frendzlę fijołkową karbowaną, naszytą gładko nad obrębem. Z przodu na spódnicy oznaczony był okrągły fartuszek, trzema plisami, od ostatniéj plisy rozchodziły się w koło jedwabne klapki w kształcie owalnym. Z tyłu spódnicy naszyte były w podłuż plisy. Na gładkim staniku plisy tworzyły chusteczkę, roztwartą cokolwiek u szyi, otoczoną klapkami, sięgającą z przodu do paska. W koło pachy szła prosta pliska. Mankiet w ząb, złożony z plisek i klapek pięknie odpowiadał całości.

Inna suknia fularowa gładka koloru Hawanna, długa powłóczysta, miała przód u dołu, zakończony ciemniejszym rulonem, boki zaś i tył wycięte w wielkie śpiczaste zęby. Wzdłuż przodu szły rzędem szmuklerskie guziki, a po obu stronach drabinka z ciemniejszych plisek. Stanik gładki szczególnego rodzaju przybrany był karczkiem naszytym pliskami. Od boków tego karczka szły w górę dwie pliski, zawrócone do tyłu na wykroju stanika.

Rękawy wązkie miały mankiet naszyty w drabinkę plisami. Pasek ciemny jedwaboy spinał się z boku na małą kokardę.

Nie możemy także w sprawozdaniach naszych przemilczeć o świeżo otwartym magazynie mód przez panią *Wieman* z domu Julji Czaban.

Pani Julja Wieman odnawiając swój zakład nieszczędziła kosztów i pracy, aby odpowiedzieć wszelkim wymaganiom mody, a półroczny pobyt w Pary-

żu pozwolił jéj wtajemniczyć się we wszystkie szczegóły. Magazyn mieści się na ulicy Senatorskiéj obok domu Rezlera, na pierwszem piętrze i zaopatrzony jest we wszystko co do stroju damskiego należy. Zajęły naszą uwagę szczególniéj kapelusze chińskie *à la chinoise* z czarnéj lub białéj angielskiéj słomy naszywane perełkami. Rondko objęte aksamitem, piórko przy nich chińskie złożone z kilku kolorów, zakończone kokardą aksamitną. Zgrabne są także kapelusze a *L' Imperatrice*, małe, z białéj słomy angielskiéj, naszywane bursztynami, objęte aksamitem brązowym, do tego piórko brązowe złożone z kilku cieni, zakończone klamrą z bursztynu. Inny kapelusz tejże formy *à l' Impératrice* z illuzji przystrojony różami, długie miał szarfy z illuzji do spinania pod brodą. Prześliczny wykończeniem i fasonem polecamy kapelusz *à la princesse Mathilde* lila krepowy z retursem, ozdobiony piórkami w kształcie girlandy i przybrany kłosami słomkowemi. Dla młodych panienek widzieliśmy kapelusze lekkie z illuzji, nakrapianéj drobnym rzucikiem cristal de roche, ozdobione margierytkami lub białemi różami. Niektóre z nich spinane są pod brodą warkoczami z krepy. Zatrzymamy się jeszcze nad kapelusikiem czarnym z dwoma retursami, ubranym liśćmi dżetowemi, w tyle zaś frendzlą szeroką dżetową. Denko haftowane czarnym dżetem; końce koronkowe spięte kwiatem stosownym do przybrania kapelusza. Oprócz tego są jeszcze kapelusze w kolorze jasno orzechowym, tudzież z krepy srebrnéj z frendzlami *cristal de roche* zwane: *Benoiton*. Wybór sukien nie mniéj gustowny. między innemi odznaczał się kostium szary z lilla. Spódniczka pierwsza krótka naszywana pliskami z lilla materyi, druga spódniczka w zęby, na bokach szarfa z frendzlą. Suknia niebieska jedwabna garnirowana liśćmi z tejże materji, każdy liść objęty wypustką z białego atłasu. Suknia wełniana fijołkowa ubrana w plisy z czarnego *poult de soie* idące aż do przodu. Wspomniemy także o stroju z dwoma spódniczkami koloru szamoa, garnirowanym do cieniu pliskami, spódniczka z boku spinana i kwastami ozdobiona. Kaftanik odpowiednio pliskami garnirowany. Obok tych strojów w magazynie p. Wieman znajduje się mnóstwo drobiazgów do ubioru damskiego, jak kołnierzyki, paski naszywane żetami, medaliony czarne na aksamitce, krzyże na aksamicie perłami wysadzane, zawiązywane na wązką aksamitkę z długiemi końcami zastępujące krawatki i inne drobnostki, zalecające się prawdziwie dobrym gustem.

Opis deseni do haftu i do wyszywania perełkami.

Nr. 1. Szlak na poszewkę. Haft atłaskowy czyli francuzki, drobny stembenek w niektórych listkach i ząbkach, oraz pajączki czyli ażurowa krateczka w większych ząbkach, otaczających główny deseń. U większych liści haftowane są tylko kontury i żyłki haftem sznureczkowym i jedna połowa stembenkiem. Na samym brzegu między zębami naszywa się wązka gipiurowa koroneczka albo plecionka zwana *mignardise*. Cztery takie narożniki przedłużone stosownie do wielkości poszewki, stanowią całkowity deseń.

Nr. 2 i 3. Desenie do wyszycia paletocików kaszmirowych czarnemi perełkami. Przy deseniu oznaczonym numerem 2-im znajduje się frendzelka z sieczki i pereł.

Nr, 4. Deseń do wyszycia sukienki dla dziecka, sutaszem i perełkami.

Nr. 5. Połowa kołnierzyka płóciennego.

Nr. 6. Mankiet. Tak kołnierzyk jak i mankiet przecinają się w pewnych odstępach i przewlekają czarną aksamitką.

Nr. 7. Połowa kołnierzyka batystowego.

Nr. 8. Mankiet.

Nr. 9, 10, 11, 12 i 13. Desenie na wstawki do rozmaitego użytku.

Nr. 14, 15, 16 i 17. Desenie na falbanki.

Nr. 18 do 31. Narożniki do krawatek, chuśtek do nosa i. t. d.

Nr. 33. Deseń so wyszycia sutaszem albo ściegiem łańcuszkowym ua poduszkę do śpilek.

Nr. 32 i 34. Kaftanik wolno puszczony z brązowego korciku, ozdobiony czarną morową wstążeczką $2^1/_2$ centymetra szeroką, naszytą czarnemi perełkami. Przy wykroju szyi przyszywa się stojący kołnierzyk, w środku tylnéj części dają się pukle i lejce z morowéj wstążeczki z perełkami. Pukle te, jeden na 9, a drugi na 11 centy. długie, zakończone są lejcami 43 centy. długiemi z grelotkami u dołu. Pukle na rękawach téj saméj są długości, lecz końce krótsze, bo mają tylko 27 centy. Naszycie u dołu rękawa składa się z pukli po 4 i 5 centy. długich. Przód kaftana zapinają guziki szmuklerskie obrobione perełkami. Można zrobić taki sam paletocik z czarnego *poult de soie*, zamiast wstążeczką morową ozdobić pliskami z téj saméj materji i naszyć perełkami.

Nr. 35. Suknia z białéj alpagi, przybrana na każdym szwie pliskami z *bleu mèxique poult de soie*. Guziki pokryte również niebieską materją.

Nr. 36. Narożnik do kołnierzyka płóciennego.

Nr. 37. Deseń na mankiet. Haft wykonywa się czarną bawełną.

Opis kaftanika, sukienki dla dziewczynki od 3-ch do 5-ciu lat i deseniu na poszewkę.

Kaftanik z czarnego gros grainse obszyty frendzelką i kwaścikami.

Nr. 1. Przód kaftanika jedwabnego.

Nr. 2. Bok.

Nr. 3. Połowa pleców.

Nr.4. Połowa kołnierzyka.

N. 8. Całość kaftanika.

Kaftanik przedstawiony, właściwy tylko do domowego ubrania, zrobić można z długiemi rękawami z tego samego materjału co kaftanik, albo też bez rękawów, kładąc w tenczas pod spód bluzkę muślinową z długiemi rękawami.

Na jedwabnym kaftaniku ładnie wydaje się szlak wyszyty czarną jedwabną sznelą i kordonkiem oranżowym, który na rysunku przedstawiony jest w naturalnéj wielkości. W miejsce szneli użyć także można sznureczka jedwabnego, albo wyszyć deseń ściegiem łańcuszkowym lub perełkami czarnemi.

Podług numeru 1-go 2-go wykroić z materjału wierzchniego i z podszewki po dwie części, podług numeru 3-go 4-go po jednéj, składając materjał podwójnie wzdłuż linji środkowéj, zrobić oznaczone zaszewki w przo dach

i połączyć wszystkie części według liter oznaczonych. Przed zeszyciem kaftanika należy na wierzchniéj części deseń wyszyć, zfastrzygować wierzch z podszewką i następnie pozeszywać części. Wykrój szyi obejmuje się kołnierzykiem podwójnym i obszywa pletnią szmuklerską, z czarnego i oranżowego jedwabnego sznuru, zakończonego kwastami. Brzeg kaftanika i wykrój pach, oszyty czarną jedwabną frendzelką 4 centymetry szeroką i kwaścikami.

Sukienka dla dziewczynki od 3 do 5 lat,

Nr. 5. Połowa przodu. }
Nr. 6. Bok. } stanika.
Nr 7. Połowa pleców. }
Nr. 8. Połowa przedniéj części berty.
Nr. 9. Połowa tylnéj części berty.
Nr. 10. Rękaw.
Nr. 11. Połowa przedniéj części spódniczki.
Nr. 12- Przedni klin } — + — + — +
Nr. 13. Tylny klin }
Nr. 14. Połowa tyłu O — O — O —
Nr. 15. Całość snkienki.

Snkienka ta zrobiona, z wełnianego wyrobu białego w czarne centki czyli marmurek, złożoną jest ze spódniczki, sukienki wierzchniéj w kliny, zmarszczonéj na tylnym brycie, i wygorsowanego stanika z bertą i krótkiemi rękawami. Spódniczka 7 centy. dłuższa od sukienki z białego cienkiego perkalu, ubrana jest wierzchniem materjałem na 16 cent. od dołu i wpuszczone ma na każdym brycie niebieską jedwabną wypustkę. Podobne wypustki, skosy z tego materjału co i sukienka, i guziki niebieskie jedwabne, zdobią wierzchnią powycinaną w zęby sukienkę, jak również stanik i pasek zapięty w tyle jedwabną niebieską rozetą.

Do wykończenia sukienki trzeba najpierw skrajać spódniczkę spodnią białą z cienkiego perkalu. Podług numeru 12 i 13 po dwie częsci na każdy numer; podług 11 i 14 po jednéj, podwójnie złożywszy materjał. Tym samym sposobem kraje się i wierzchnia sukienka, znacznie jednak króciéj, bo dochodzić tylko powinna do zębów, naznaczonych na papierowéj formie. Staniczek krajać trzeba z wierzchu i z perkalowéj podszewki, podług Nr. 5 jedną część, podwójnie złożywszy materjał, podług N. 6 dwie części, podług 7 także dwie, (przypuszczając przy brzegu lewéj części. 3 centy. materjału, na haftki); następnie podług Nr. 9 i 10 po dwie cząstki na każdy Nr. z materjału wierzchniego i z podszewki, podług 8 jedną część wraz z podszewką podwójnie składając materjał. Pojedyncze części spódniczki, jak równiez sukienki, trzeba podług oznaczonych liter zszyć, i dodać na perkalu od dołu materjał wierzchni, stanowiący dosztukowanie na 16 centy. długie. Przy zeszyciu Nr 13 i 14, licząc od litery X. aż do góry, wypada rozporek, który z lewéj strony podszywa się ukrytą listewką, a z prawej obejmuje wypustką wszytą między Nr. 13 i 14 od dołu do góry.

Dolną spódniczkę obejmuje się skosem z wierzchniego materjału na 4 centy. szerokim, wszywając jedwabną niebieską wypustkę. Zęby wierzchniéj sukienki należy również takim samym objąć skosem i wypustką jak u spódniczki, dodając na każdem zagłębieniu zęba, jedwabny niebieski guzik. Kiedy już porobione na przodzie stanika zaszewki, lewa część tyłu opatrzona w haftki, a prawa w odpowiednie koniki, zeszywa się od Nr. 5 aż do 7, podług oznaczonych liter, dodając w szwach wypustki. Rękaw zeszyty od litery M. do P. ubrany podług ryciny, wszywa się do stanika tak, żeby litera M. przodu, zgadzała się z drugiem M. w rękawach. Następnie wykrój gorsu oszyć trzeba wypustką jedwabną, przyczepiając podług liter na przodzie stanika bertę od G. do H. zeszytą, i stosownie ubraną. Do dołu stanika przyszywają się obiedwie spódniczki tak, żeby U. do U. a B. do B. przypadały. Od B. tak tylna część sukienki, jak i spódniczki układa się w marszczki, stosownie do rozmiaru pleców, które to marszczki objąć trzeba ukosem, bo się nieprzyszywają do pleców stanika, objętych jedwabną wypustką u dołu. Rozporek zapinają haftki. Pasek zrobiony z 4 centymetry szerokiéj listwy, takiéj jak suknia, na sztywnéj podszewce, z obu stron objęty takimże ukosem i niebieską wypustką $^3/_4$ centy. szeroką, zapina się na haftki i ozdabia rozetą, mającą $6^1/_2$ centy. średnicy, zrobiona z ukosu z tegoż materjału na 4 centy. szerokiego, na połowę złożonego. Dla sztywności trzeba rozetę podszyć muślinem mocno sfałdować, dolny brzeg przyszyć na twardéj jakiéj podkładce, i zakończyć w środku niebieskim jedwabnym guzikiem. Wązka koroneczka na około gorsu, i u dołu rękawków, dopełnia garnirunek.

Deseń na haftowaną poszewkę.

Nr. 16. Część deseniu.

Nr. 17. Całość poszewki haftowanéj. Co do haftu nie wiele mamy do nadmienienia, składa się on z atłasku, drobnego stembenka, pęczków wypukłych i konturów obrobionych ściegiem sznureczkowym, wypada nam tylko objaśnić dokładnie sposób zapinania przedstawionéj powłoczki, które zależy głównie na 8-u równéj wielkości klapkach, umieszczonych z obydwóch dolnych stron poszewki, zapinających się każda z osobna na dwa guziki i dziurki.

Szerokość płótna trzeba na ośm głównych części podzielić, następnie długość każdéj klapki na 10 centy. ołówkiem naznaczyć potem sfastrzygować po prawéj stronie z podszewką, którą można także fałszywym obrębem zastąpić i stebnować na maszynie, odstępując kawałek od linji oznaczonéj ołówkiem, przez co się rodzaj zębów greckich formuje. Poczem płótno wraz z podszewką wykrawa się na 9 centy. głęboko podług linji ołówkowéj, odwraca i zapodszewkowywa pod spodem. Następnie raz jeszcze stebnują się klapki na maszynie, czego dopełnić należy na spodniéj części poszewki. Na ośmiu spodnich klapkach przyszywają się po dwa guziki, na ośmiu wierzchnich po stronie haftu po dwie dziureczki w odpowiednich miejscach. Ładnie ozdabia klapki wierzchnie, mała nicianna koroneczka na $1^1/_2$ centy. szeroka, która zakrywając czerwony materjał poszwy, pięknie odbija. Klapki narożne należy mocno zeszyć po lewéj stronie, aby rogi nie otwierały się.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz z deseniami do haftu i do wyszywania perełkami, oraz formą: kaftanika sukienki dla dziewczynki od 3 do 5 lat i deseniu na poszewkę.

---

w Drukarni K. Kowalewskiego — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj. Redaktor J. K. Gregorowicz.

Dodatek do Nr. 25 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 10 (22) Czerwca 1867 r.

DANIEL ROCK

POWIEŚĆ,

Z FRANCUZKIEGO

PRZEZ

ERKMANA-CHATRIANA.

(Dalszy ciąg).

Zerwała się tedy co żywo— i rzuciła w objęcia ojca.

— Tyś mi zawsze była pociechą Tereso— rzekł Daniel—błogosławię cię— moje dziecko.

I oboje rozeszli się cicho — aby nie przerywać rozmyślań Kacpra i Krystjana.

XIV.

Daniel Rock poszedł nazajutrz z synami do spowiedzi. W niedzielę przystąpili wszyscy razem do stołu pańskiego.

Tegoż dnia ojciec Niklaus — odśpiewawszy nieszpory, wracał spokojnie na plebanią, kiedy w drodze spotkał ojca Benedum.

Od czasu rozerwania małżeństwa Ludwika z Teresą, stary młynarz stracił zwyczajną swobodę! Widywano go jak chodził po wsi, z czołem zafrasowanem, i głową pochyloną; — pracował w młynie z nawyknienia, nic go jednak rzeczywiście nie zajmowało.

W gruncie serca nie miał nienawiści ku towarzyszowi lat młodych, który nie mógł pojąć że ten bez osobistych powodów, skutkiem ogólnéj sprawy, obcéj interesom rodzinnym, zamknął progi domu swego, tak jemu jak i Ludwikowi. Taki postępek Daniela dotknął go do głębi duszy, tym bardziéj że Ludwik chudł i mizerniał widocznie, że przez całe godziny wyglądał dymnikiem z poddasza, zkąd dostrzegał niekiedy Teresę, jak podlewała kwiatki, lub krzątała się koło gospodarstwa.

Pleban z podziwieniem uważał w niedzielę uroczystą postać młynarza.

— Dzień dobry ojcze Frantz, zagadnął, cóż tam słychać nowego? Widzę że macie mi coś powiedzieć.

— Prawda księże plebanie — mam coś powiedzieć Jegomości.

Poczciwy ksiądz Niklaus domyślał się o co rzecz idzie.

— Na Imie Boskie ojcze Benedum, zawołał, nie mówcie mi już o małżeństwie Ludwika z Teresą. Rzecz próżna — nie uwierzycie co biedy użyłem aby was pojednać z Danielem. Stary o niczem słyszyć nie chce. Zagroził mi, że gdybym mu jeszcze o tem wspomniał, nie widywał by mnie inaczéj jak w kościele. Mówiłem wam już, to nie człowiek ale skała.

— Znam ja go, odrzekł smutno Benedum, wiem żeście wszystko robili aby nas pojednać, i dziękuję wam za to... dziś przecież nie oto idzie... Jużeśmy się oboje z Katarzyną poddali Boskiéj woli... chłopak myśli tylko o Teresie, nie ożeni się z drugą — wiem o tem,.. zmizerniał do niepoznania, ale nie przebije głową muru.

— Tak ojcze Benedum — trzeba się poddać woli Boskiéj, odrzekł z współczuciem dobry pleban — rzecz prosta — trzeba się poddać.

— Zapewne, odparł młynarz, idąc obok plebana z oczyma wlepionemi w ziemię, zapewne, ale to rzecz ciężka. Nie będziemy kołysać wnuków z Katarzyną, a my już oto przygotowali suknie na gody. Biedna Katarzyna! taka była szczęśliwa. Ona kocha Teresę jakby rodzone dziecko... Wiadomo wam księże plebanie, że kiedy dzieweczka Rocków przyszła na swiat, Katarzyna karmiła jeszcze Ludwika, bywało też nie raz, że dawała piersi i maleńkiéj. Nie kłamię jak mi Bóg miły.

— Wierzę wam ojcze Benedum.

— A potem księże plebanie, kiedy dzieci podrosły trochę od ziemi, zawsze bawiły się z sobą. To mała przybiegała do młyna, to znów chłopiec biegł do kuźni... trudno ich było utrzymać... serce mi się kraje kiedy pomyślę o tem. Jakbyśmy byli szczęśliwi, gdyby nie to zajście! ale czyż mogłem pozwolić aby Daniel uderzył mera? Powiedźcie sami ojcze. —

— Tak, tak, wiem o tem; od kwartału, powtarzacie mi jedno i toż samo, bezustannie.

— Darujcie mi księże plebanie... nudna to rzecz słuchać zawsze jednego, ale kiedy człowiekowi dolega coś tu — i położył rękę na piersi, a oczy zabiegły mu łzami — trudno milczyć. Otóż jak mi Bóg miły, Daniel wszystkiemu winien... na radzie odezwałem się w interesie dobra kraju... każdy inaczéj widzi rzeczy.

— Prawda ojcze Benedum.

— A więc czegoż on chce odemnie? Alboż ja mu

wyrzucam że inaczéj myśli niż ja? Zresztą przypuść-my że się mylę, cóż biedny Ludwik temu winien? Cóż winna dziewczyna którą my tak kochamy, i która kocha nas też nawzajem?

— Ależ mój przyjacielu — choćbyście mi to powtarzali do końca świata, cóż ja wam na to poradzę? zawołał poczciwy pleban, składając obie ręce. Daniel nie chce słyszyć o niczem.

. Gdy to mówił, skręcili na małe podwórko plebanji. Stara Anna tylko co powróciwszy z nieszporów, otwierała okna, aby odswieżyć powietrze.

Weszli oba w milczeniu do sieni—a potem ksiądz oddał trójgraniasty kapelusz staréj Annie — włożył na głowę czapeczkę aksamitną, i zasiadł w krześle z poręczami.

Benedum stał jeszcze przy stole.

— Siadajże mój kochany Frantz — rzekł pleban, i zamknij drzwi — kiedy masz pomówić ze mną sam na sam.

Młynarz przekręcił klucz w zamku, stara Anna odeszła do kuchni.

— Prawda ojcze plebanie — zawołał Benedum — przepomniałem o tem. Przychodzę tu aby uprzedzić wielkie nieszczęście.

— Jakie nieszczęście?

— Tak nieinaczéj... pewien jestem.,. Daniel zamierza coś złego...

— W jaki sposób?

— Znam go już lat pięćdziesiąt: kiedy powie słowo rzecz skończona!

— A cóż on takiego powiedział?

— Oto wyrzekł na radzie municypalnéj, że niczyja noga nie postanie na jego ziemi, chciał aby zapisać te słowa w protokóle.,. Gdybyście ojcze widzieli go wówczas, zrozumielibyście co się święci.

— Ksiądz Niklaus uśmiechnął się spokojnie na te słowa.

— Zląkłem się w pierwszéj chwili, odrzekł, ale ojcze Frantz posuwacie rzeczy za daleko... Czyż godzi się przypuszczać z kilku słów na wiatr rzuconych, aby Daniel chciał stawiać zbrojny opór? Strach wasz nie oparty na niczem.

— Ojcze plebanie — znam ja Daniela — wiem jak zacięty w gniewie... Co dnia oto... wchodzi na mury zamczyska, i zjakie pół godziny przygląda się robocie... śledzę go pilnie z mego młyna... pojmujecie ojcze... towarzysz lat dziecinnych... cokolwiek bądź zaszło między nami... trudnoż nakazać sercu,.. Patrzę nań tedy, jak idzie pomiędzy gruzy z rękoma w tył... dosyć nań spojrzyć zaprawdę, aby zgadnąć co myśli...

— Onegdaj skoro ósma wybiła, zbiegł z góry wcześniéj niż zwykle; usta miał zaciśnięte... I dziś widzę że tyczki inżynierów, prawie już dochodzą po wrzosy, jutro wejdą na grunt Daniela. Wczoraj uważałem chmurę na jego czole — a dziś widziałem iż przystępował do stołu pańskiego.

— Posłuchajcie mój Frantz— przerwał pleban— przesadzacie rzeczy zbytecznie... Widuję często Rocków; są to ludzie spokojni, powiem nawet że zanadto spokojni. Nic ich nie obchodzi... ani uczty inżynierów, ani gorszący ich przykład, ani lekceważenie jakie okazują dla religji świętéj... mówiłem o tem w domu Daniela.., Słuchali mnie wszyscy zimno i obojętnie... Ja sam dziwię się spokojności tego człowieka; przypisuję to chyba późnemu wiekowi. Starość wystudza w sercu szlachetne uczucia, uspokaja krew w żyłach... Bądźcie spokojni ojcze Frantz, i nie sądźcie rzeczy tak gwałtownie.

— Księże plebanie — odrzekł Benedum — powiedziałem co myślę; wypełniłem powinność moją... Jeśli jestem w błędzie tym lepiéj... Może być że wiek ostudził krew Daniela, gdybym jednak był na miejscu inżynierów, nie ufałbym temu zbytecznie. Zresztą bądź co bądź — kocham i szanuję tego człowieka... pięćdziesięcioletnia przyjaźń, nie zatrze się w dniu jednym.

To rzekłszy młynarz powstał — pleban odprowadził go do drzwi.

— Nic dziwnego—rzekł w duchu ksiądz Niklaus ma nieborak zmartwienie to też widzi wszystko ze złéj strony.

A jednak, kiedy noc zapadła — pleban wyszedł cichaczem z plebanji, i udał się do domu Rocka. Wrota mocno były zaryglowane — przyłożył ucho do zamku; cisza w domu panowała głęboka, znać wszyscy twardo spali. Powrócił więc do siebie uspokojony, pewien że się pomylił stary młynarz. „Kto przemyśla o zbrodni — tam sen nie postanie na oczach“ tak mówił zacny pleban.

— Każdy sądzi o drugich według siebie.

XV.

Prace inżenierów szybko się posuwały. Rząd tyczek z chorągiewkami, ciągnął się przez las i wielki parów, od Erschwiller do Felzenburga.

Gdyś sobie pomyślał: ileż to potrzeba będzie pracy, zanim stanie droga żelazna; tu wypadnie przerzucić most od jednéj góry na drugą, tam wykuć otwór w skale, tam znów odwrócić koryto rzeki, wymurować podziemne sklepienia; zrównać pagórki, ubić groblę na trzysta stóp wysoką, kiedyś marzył o tem zdumiewając się nad zuchwałością ludzką — zapytywałeś wtedy sam siebie: co też o nas pomyślą nasze dzieci?.. Czemże zamki Nidzku i Holbaru, czem katedra Strasburgska, w obec tych olbrzymich przedsiewzięć — jakżeż ludy starożytne mogą się równać znami?

Każdy powtarzał w duchu te słowa, patrząc na Tytaniczne pomysły, mało kto jednak wierzył, aby te pomysły mogły się stać rzeczywistością.

W dniu kiedy tyczki inżenierów, zstępując z wyżyn Falzbergu, pojawiły się na dolinie, lud zajęty w polu koło żniwa, przerywał co chwila pracę, i ścigał okiem inżenierów pochylonych nad lunetami; przyglądał się robotnikom jak mierzyli ziemię wyciągniętym łańcuchem, — jak powalali z łoskotem stare drzewa — i poczciwy lud nie śmiał dowierzać własnym oczom.

Podróżni zatrzymywali się w drodze idąc, lub poganiając konia, — nie jeden kiwał głową, i myślał sobie w duchu:

— „Zanim ta droga stanie, zedrę ja jeszcze nie jedną parę butów.“

Tak rozumowali wszyscy, z uwielbieniem jednak podziwiali śmiałość olbrzymiego przedsiewzięcia.

Wieczorem w sobotę, pomiar doliny Felzenburgskiéj, zupełnie był dokonany — została tylko góra od któréj ciągnął się wąwóz Sawerny.

Inżenierowie wraz z młodemi paniami, obchodzili niedzielę po swojemu, w poniedziałek o czwartéj zrana, zabrawszy lunety i chorągiewki, wyruszyli w pole na robotę.

Tu nasuwa się mimowoli pytanie: dlaczego twórcy drogi żelaznéj, zamiast jednać sobie szacunek ludu, tak porządnem życiem jak wielkością przedsiewzięcia i niezmordowaną pracą, dla czego mówię ci szlachetni synowie XIX. wieku, których olbrzymie dzieła zdumiewać będą przyszłość, tak lekceważą poczciwy lud wiejski, przynosząc mu zgorszenie i okazując pogardę dla tego wszystkiego, co on przywykł tradycyjnie szanować?

Prawdaż to że moralność ludzi oświeconych, różni się od moralności prostaczków? Godziż się sądzić że wysilenie intelligencji w celu wzniosłym i pożytecznym usprawiedliwia swawolę i nadużycia? Niechaj inni rozwiążą tę zagadkę — my wracamy do wątku powieści.

Cała wieś prawie wyległa, przyglądając się ciekawie, w ktorem miejscu przetnie górę droga żelazna.

Czas był prześliczny; od szóstéj z rana słońce rozproszyło ciemny mrok po nad górą — ziemia parowała, rosa wznosiła się w obłoki; zielone liście jabłoni drżały poruszane rannym powiewem.

Inżenierowie, w wysokich butach z surowéj skóry przechodzili tu i owdzie po bujnéj i wyrosłéj trawie. Co chwila wołali na robotników, którzy ciągnęli za sobą ciężki żelany łańcuch:

— Na prawo!.. na lewo... dobrze... stój!..

Tłumy robotników pospieszały w ich ślady, nieco opodal, na skraju lasu wpośród sterczących pieńków i powalonych pni, drwale jedli śniadanie siedząc wokoło polewanych misek. Lud wiejski z całéj doliny przypatrywał się bacznem okiem, pasterze przybiegli z łąk i lasu prowadząc z sobą kozy, kumoszki stały w progu domów zapytując się wzajem:

— Czy też droga pójdzie przez gruzy, czy pod górą zamkową?

Ojciec Benedum stał na mostku, udając jakoby poruszał upust. Ludwik oparty o drzwi młyna, blady był i dziwnie pomięszany.

W chwili, kiedy pan Horacy dał znak robotnikom, aby przeciągnęli łańcuch przez zarośla, ukazał się na drodze od kuźni do zamku, ojciec Rock z odwiniętemi rękawami od koszuli — w skórzanym fartuchu, z gołą głową, z młotem założonym za pas rzemienny.

Spojrzał... potem przystąpił wolno do robotnika trzymającego łańcuch.

I niebawem dwaj synowie ukazali się opodal, ubrani tak samo jak ojciec.

— Co tu robisz? zagadnął stary kowal robotnika.

— Toż widzicie ojcze Danielu, odrzekł robotnik, zatykam palik w ziemi.

— Kto ci pozwolił deptać po cudzym gruncie? spytał kowal z zaiskrzonym wzrokiem.

— Ależ bo ojcze Danielu, rzekł robotnik nieśmiało.

Pan Horacy spoglądał z daleka na tę scenę, któréj znaczenia wcale nie rozumiał.

— No dalejże — wołał — spieszmy się.

Ale robotnik nie spieszył się bynajmniéj. Znał on dobrze starego Daniela.

Odejdź ztąd Hanz — rzekł kowal — daję ci dobrą radę.

Pan Horacy widząc że robotnik stoi nieruchomy, przyskoczył do niego co żywo.

— Co się stało? zapytał podniesionym głosem.

— To się stało? rzekł kowal — że nie pozwolę postąpić kroku daléj.

— Ty mi zakazujesz— ty? zawołał inżynier.

Tak jest ja. Proszę odstąpić i to zaraz.

I lica starego kowala zadrżały... Pan Horacy nieustraszony tem wcale, rozśmiał się na głos, pochwycił własną ręką za pal, i wbił go w ziemię w oczach starca.

— Otóż i jest zawołał.

Stary Daniel zakaszlał lekko, porwał młot i uderzył w głowę inżeniera z taką siłą, że krew buchnęła mu nosem i ustami. Pan Horacy upadł na ziemię.

Kowal założył spokojnie młot za pas, pochwycił pal okuty w żelazo, spojrzał prosto przed siebie.

Hanz uciekał przez wrzosy, jakby koza przed wilkiem.

Inżenierowie i robotnicy zbliżali się krzycząc.

Daniel Rock, sam jeden, z głową przechyloną w tył, ze zmarszczoną brwią, z długim garbatym nosem, z przymkniętemi oczyma, i ściśniętemi ustami czekał na nich, nie postępując naprzód ani kroku.

Postać starca była przerażająca.

Dwaj synowie przyskoczyli do ojca — każdy z podniesionym młotem w ręku.

— Nikczemnicy! zbrodniarze! — wołali inżenierowie porywając za drągi.

Gdy wstąpili na wrzosy Daniel zawołał grzmiącym głosem:

— Ani kroku daléj!

Posuwali się jednak nie zważając na tę pogróżkę — Cyprian prowadził ich naprzód.

Daniel postąpił ku nim cztery kroki, jednym zamachem wytrącił pal z rąk Cyprjana; inżynier uskoczył w tył z twarzą posiniałą i na pół oderwanem uchem.

— Niegodziwy łotr!—wołał wściekły od gniewu.

Stary kowal nie odrzekł ani słowa... Synowie stanęli przynim i rozpoczęła się krwawa bójka. Motyki, drągi, kielnie furkotały w powietrzu — ciosy jak grad spadały na głowy.

Cała wieś poglądała na to: lud tłoczył się pod górę, przez płoty i ogrody.

— Ratuj panie — wołano ze wszystkich stron — a toż się pomordują. Boże litościwy, jakaż to straszna bójka.

Siwa głowa starego Daniela, górowała wciąż po nad tłumem, drąg jego świszczał przeraźliwie, starzec krzywił usta szyderczo.

Obaj synowie walili też drągami.

Robotnicy z boru spieszyli co żywo, trzymając w ręku ogromne siekiery. Ranni na czworakach uciekali z tłoku. W górze zaś na złamie skały sie-

działa skulona Fuldrata i rzucała straszne przekleństwa. Uboczną steczką wydeptaną w pośród wrzosów, biegł zadyszany Benedum z Ludwikiem i młynarczykami.

Stare kobiety we wsi, podnosiły suche ręce, wzywając miłosierdzia Bożego.

— Święty Krzystofie! święty Pankracy, ratujcie nas — wołały przerażone.

Bójka tymczasem trwała zacięta:— drągi i młoty waliły z coraz większym łoskotem.

Niepojęty zapał ogarnął starego Daniela. Odwieczne kroniki stanęły mu żywo w pamięci. Walczył jak lew: rąbał mordował, ścierał w proch wszystko co napotkał, jak Hugon jednooki w bitwie pod Mühldorf.

Wkrótce nawet odebrawszy w głowę kilka pocisków motyką, mniemał się być samymże Hugonem jednookim.

— Hrabio Falkenstein zawołał, dokazujesz dziś cudów.., Lampart drży! skórę jego oddamy św. Barbarze patronce naszéj. Hejże na Tawardinów, na Brabantów. Do mnie! do mnie synowie krzyżowców! Uderzmy! niechaj krucy szarpią ich ciała.

Wspomnienia ze starych kronik, ożywiały też chłopców niepojętym zapałem. Obaj zgrzytając zębami, rzucali się i rąbali jak wściekli; na próżno motyki, i drągi spadały na nich gradem, nie czuli pocisków, rzekłbyś że ukuci z żelaza.

Cyprjan wysoki, chudy, z gębą rozwartą od ucha do ucha z posiniałą twarzą, w kapeluszu na bakier, usiłował przedrzyć się przez ciżbę, z ogromnym drągiem w ręku.

— „Spieszcie, spieszcie— wołał chrapliwym głosem na robotników zdążających od lasu.“

Ojciec Daniel spojrzał na Cyprjana, postąpił ku niemu dwa kroki.

— Ty umrzesz! pomrukiwał — ty umrzesz! widziałem cię w wąwozie Eberschwiller... wiodłeś w góry nasze rabusiów Lotaryngskich.. śmierć tobie! zamorduję cię po raz drugi!

Robotnicy z lasu nadbiegli — ojciec Daniel na widok ich siekier, które sam niedawno hartował, chwilowo powrócił do zmysłów.

— Krystjanie! Kacprze! zawołał rozdzierającym głosem — za wielu ich tu... uciekajcie... zostawcie mnie samego.

I długa twarz starca, rozpaczliwy przybrała wyraz.

Ale dwaj dzielni młodzieńcy, nie myśląc bynajmniéj o ucieczce, poskoczyli naprzód i zasłonili ojca. Siekiery szczęknęły o drągi ich okute żelazem.

Wówczas to Jerzy z Chevrehof ugodził w pierś Kacpra siekierą — młodzian upadł na ziemię...

Ojciec Daniel ryknął jak tur, Cyprjan zadrżał od stóp do głowy. Poskoczył naprzód wśród zamierzonych siekier, pochwycił Jerzego, powalił na ziemię i co sił deptał nogami. Siekiery jak grad spadały na głowę starca. Obrócił się jeszcze i wołał:

— Krystjanie uciekaj mój synu.

I w téj chwili upadł na kolano; zdruzgotał drąg o głowę innego robotnika... zaśmiał się na głos przeraźliwym śmiechem, i runął jak dąb pomiędzy wrzosy.

Nastąpiła chwila milczenia, — a po niéj groźny okrzyk.

Robotnicy jak swora ogarów, oskoczyli Krystjana, który sam jeden został przy ojcu.

W tem nadbiegł zadyszany Ludwik i spostrzegł długie nogi Daniela, pod stopami wściekłych zapaśników, ujrzał Kacpra jak powalony twarzą o ziemię, ściskał za gardło dwóch rannych; ujrzał Krystjana jak klęcząc przy Danielu, wielkim młotem odpierał pociski, podczas gdy krew płynęła strugą z lewego ramienia młodziana.

Na ten widok, z głową pochyloną rzucił się pomiędzy walczących.

— Nikczemni — krzyknął — stójcie!

Ojciec Benedum ukazał się za synem — porwał z ziemi drąg i zawołał:

— Nie dość że wam jeszcze? — oto nas macie gotowiśmy do bójki!

W tejże chwili dwaj młynarczyki, przeskoczywszy płot stanęli przy boku młynarza. Na widok niespodziewanych posiłków, robotnicy złożyli siekiery: dość już narąbali się niemi.

Straszny obraz przedstawiały zarośla... krew płynęła pd wrzosach... ranni tarzali się po ziemi; jedni jęczeli przeraźliwie, drudzy milczeli głucho.

Ludwik uklęknął przy Danielu, i zapłakał rzewnie.

Starzec na pół otworzył siwe oczy... spojrzał i łza pociekła mu po licu. Ludwik ujął rękę Daniela — po chwili uczuł jak dłoń sztywniała i krzepła: stary kowal stracił przytomność.

Cyprjan tymczasem obmywszy naderwane ucho w kałuży, posłał po doktora — pobiegł potem do Horacego, któremu krew buchała ciągle nosem i ustami.

Takto ojciec Daniel, zamienił w rzeczywistość groźbę zapowiedzianą na radzie municypalnéj.

XVI.

Mer Zacharjasz Piper golił się w oknie, kiedy strażnik leśny Kacper Iment, otworzył z łoskotem drzwi pokoju.

— Panie merze — panie merze... wołał zadyszany — chodź pan co żywo — mordują się na gwałt... piętnastu padło trupem — a rannych nie policzyć.

Na ten krzyk pan Zacharjasz skamieniał ze strachu — po chwili zagadnął drżąc jak liść.

— I któż się tak morduje? mów!

— Ojciec Daniel z synami, wali na miazgę inżenierów, robotników, każdego kto się nawinie. Spiesz się pan spiesz na Boga.

(d. c. n.)